

WITOLD MIKOŁAJCZYK ur. 1921; Kurów



Tytuł fragmentu relacji	Rodzina
Zakres terytorialny i czasowy	Kurów; dwudziestolecie międzywojenne
Słowa kluczowe	Kurów w dwudziestolecu międzywojennym, rodzina

Rodzina

Nazywam się Witold Mikołajczyk, urodzony w Kurowie, 27-go sierpnia 1921 roku. Urodzony na ulicy Chłockiej, a mieszkający po urodzeniu na ulicy Dworskiej. Obecnie – na ulicy I Armii Wojska Polskiego. Rodzice – Władysław i Wiktoria Mikołajczyk, z domu Ginalska. Ojciec - szewc, matka - gospodyni domowa. Posiadaliśmy dwie morgi pola, które były dla nas podstawowym elementem życia. Bo mogliśmy na bazie tego kawałka pola utrzymać krowę. Od czasu do czasu matka trzymała świnkę. Mleko było swoje, chleb swój, kartofle swoje. A ojciec pracował tylko na cukier, pieczywo i wszystko, co do domu było potrzebne – ubranie, obuwie. Rodzice moi byli prostymi ludźmi. Ojciec szewc i to nie wykwinetnego obuwia, a obuwia dla chłopów. Dla wieśniaków. Chory przez kilka lat, bo to za małych moich – rok, półtora mający lat - nie pamiętam już tego, że ojciec leżał nieruchomy na zeszywniające zapalenie stawów kręgosłupa. I jeździł po tych owczarzach, którzy leczyli ojca owsem nagrzewanym, jakimiś lekami przyrody. Nie farmakologicznymi, tylko przyrody, no i jakoś się udało tego ojca uruchomić przy pomocy tej przyrody, no i siedział na stołku i robił te buty. Nie zarejestrowany, a więc ciągle obawiający się, że sekwestrator z Puław wpadnie i zabierze ojcu te parę butów, które robi. Ojciec towaru nie brał na zapas od Żydów, tylko jak miał zrobić parę butów, to szedł do Żydów i kupował materiał. Więc jako tego rodzaju chory nie oddawał się już pracom domowym w gospodarstwie naszym małym, tylko pilnował stołka szewskiego i tych swoich butów, z którymi był związany, chodząc co poniedziałek do Markuszowa, żeby sprzedać te 3-4 pary butów, które zrobił przez tydzień.

Matka – zwykła kobieta, prosta. Ojciec i matka podstawowej szkoły nie skończyli, jako że to była tak ustawiona wtedy rzeczywistość pod okupacją rosyjską, a więc ani Rosjanie ani później Niemcy nie wysilali się i nie dbali o to, żeby polskie dzieci kończyły szkołę. Były tylko umiały liczyć do stu, przeczytać, napisać coś, a tego rodzice się nauczyli, bo rodzice rodziców dbali o to, że jeżeli tylko to możliwe – niech dziecko idzie do szkoły, niech się uczy. Ile się nauczy, tyle się nauczy, ale nie będzie analfabetą.

Ojciec męczył się na tym stołku, a matka męczyła się w gospodarstwie. Nigdy nie wynajmowaliśmy do ścięcia żyta, na przykład i kopania kartofli ludzi, tylko sami obrabialiśmy te dwie morgi, więc matka sierpem żęła żyt, a ja pomagałem – układałem w snopki, ustawiając, bo byłem najstarszym dzieckiem rodziców. Miałem trzy siostry. Trzy młodsze siostry. Moja cała

rodzina – o ile wiem – wywodzi się z Kurowa. Dziadek kurowiak, babcia kurowianka, pradziadek – kurowiak, czyli jak sięgam pamięcią, poprzednicy moi to kurowiaczy. Pradziadka pamiętam. Bo on mieszkał u nas do śmierci, podczas gdy syn jego – mój dziadek – początkowo miał restaurację, a później, jak skończyła się restauracja, poszedł do sądu w Kurowie na woźnego i tam do końca istnienia sądu w Kurowie pracował. Pradziadków imion nie pamiętam. Matki ojciec nazywał się Franciszek Ginalski, a ojca ojciec - nie, nie pamiętam.

Data i miejsce nagrania	2005-03-11, Warszawa
Rozmawiał/a	Tomasz Czajkowski
Transkrypcja	Marta Kubiszyn
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"